

Białas, Andrzej

Z życia nauki i życia Towarzystwa : Sytuacja nauk humanistycznych w świecie współczesnym : (Konferencja – Warszawa, 21 II 2003) : Najważniejsza jest historia

Rocznik Towarzystwa Naukowego Warszawskiego 66, 24-28

2003

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych oraz w kolekcji mazowieckich czasopism regionalnych mazowsze.hist.pl.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Andrzej Białas

NAJWAŻNIEJSZA JEST HISTORIA

Bardzo dziękuję za zaproszenie do udziału w dzisiejszej dyskusji. Wielkie to bowiem wyróżnienie i zaszczyt wystąpić na Konferencji organizowanej przez najstarsze polskie Towarzystwo Naukowe, o historycznych zasługach dla nauki i kultury. To właśnie nieodparta chęć dostąpienia tego zaszczytu sprawiła, że zdobyłem się na odwagę i zabieram głos w tak dostojnym gronie na temat spraw leżących daleko poza moją kompetencją. Przepraszam za tę chwilę słabości. Mamy dzisiaj zastanawiać się nad miejscem i sytuacją humanistyki we współczesnym świecie. Warto może na wstępie zaznaczyć, że środowisko, w którym pracuję, klasyfikuje tego rodzaju problemy – nieco żartobliwie – jako „podstawowe”, to znaczy takie, o których my – praktycy nauk przyrodniczych – myślimy rzadko (a jeżeli już nam się to zdarzy, to czym prędzej staramy zająć się czym innym). Trudno więc oczekiwać, że potrafię na ten temat powiedzieć coś oryginalnego, lub głębokiego. Będą to po prostu trzy krótkie komentarze, mam nadzieję, że dostatecznie blisko związane z tematem naszego spotkania.

KOMENTARZ PIERWSZY: ODPOWIEDZIALNOŚĆ HUMANISTÓW

Dla mnie – laika – nie ulega wątpliwości, że w dzisiejszym świecie rola i znaczenie humanistyki są absolutnie decydujące, a jej odpowiedzialność – fundamentalna. Właśnie o tej odpowiedzialności chciałbym powiedzieć kilka słów.

W naszych czasach dyskusja o odpowiedzialności uczonych sprowadza się bowiem zazwyczaj do krytyki fizyków za skonstruowanie bomby atomowej oraz biologów za odkrycie możliwości manipulacji genetycznych (oczywiście upraszczam, ale chodzi mi o zilustrowanie sytuacji). Natomiast rzadko słyszymy krytykę uczonych humanistów, którzy lubią bawić się swoimi konstrukcjami intelektualnymi, nie zastanawiając się nad konsekwencjami społecznymi tych igraszek. A konsekwencje bywają straszne, czego – w postaci dyktatury komunistycznej – doświadczyliśmy nie tak dawno na własnej skórze.

Z punktu widzenia niezbyt uważnego obserwatora, humanistyka przeżywa – przeplatając się – okresy optymizmu i pesymizmu. Nie mam

– rzecz jasna – wystarczającego przygotowania, aby uzasadnić wyczerpująco tę tezę, ale nie jest zbyt trudno wskazać przykłady, które ją potwierdzają. Komunizm był z pewnością (jak wiele innych utopii) odbiciem niezwykle optymistycznego podejścia do rzeczywistości i wiary w „postęp ludzkości”. Również apologia kapitalizmu i wolności lansowana przez Hayeka, Friedmana i innych była ideologią na wskroś optymistyczną. Z kolei postmodernizm, o ile go rozumiem, jest dla mnie przeraźliwie pesymistyczny.

Otóż jest faktem, że te różne zwroty w poglądach miały zazwyczaj niezwykle ważne konsekwencje społeczne. O komunizmie już mówiliśmy. Z kolei apologia kapitalizmu znalazła wyraz w dyktaturze wielkich korporacji, które w znacznej mierze rządzą światem ponad głowami demokratycznie wybranych rządów, a więc w rezultacie – poza kontrolą polityczną i moralną. Nikt nie wie, czym się to skończy. Wreszcie postmodernizm doprowadził do ogromnego rozchwiania podstawowych zasad, na jakich opiera się nauka i życie społeczne. Jeżeli bowiem faktycznie „wszystko ujdzie”, to zupełnie nie ma się na czym oprzeć i kwestionować można wszystko, włącznie z moralnością. A konsekwencje widać na każdym kroku.

Można bez większego trudu podać wiele innych przykładów świadczących o tym, że – przynajmniej na długą metę – humanistyka determinuje zarówno nasze codzienne życie, jak i rzeczywistość całego globu. Tak chyba było zawsze. Może ktoś powiedzieć, że jest właśnie na odwrót: że to sytuacja społeczna indukuje dominację takich a nie innych trendów w naukach humanistycznych. Nie czuję się jednak na siłach, aby podjąć dyskusję co było pierwsze: jajko czy kura. Zapewne oba efekty wzajemnie się wzmacniają.

Podsumowując, nie ulega wątpliwości, że abstrakcyjne idee humanistów wielokrotnie przeobrażały świat. Czasem skutki były dobre, ale często tragiczne. A w dodatku przyszłość przed nami i naprawdę nie wiadomo, co nasi kochani filozofowie, socjologowie czy ekonomiści jeszcze wymyślą i gdzie jeszcze mogą nas zaprowadzić. Zwłaszcza, że od pewnego czasu dostali do ręki nowe narzędzia: matematykę i komputery, co zwiększyło znacznie możliwości badawcze, a co mnie – doprawdy – przejmuje grozą¹.

Mamy więc wszelkie powody domagać się od uczonych humanistów, aby zwracali bacniejszą uwagę na społeczne skutki swoich dywagacji. To

¹ Szczególnie zaś przeraża mnie pewność siebie niektórych socjologów, a zwłaszcza ekonomistów. Obiektem ich badań jest społeczeństwo, które jest układem niezwykle skomplikowanym. To układ nieliniowy o ogromnej liczbie parametrów. Jako fizyk, mogę tylko powiedzieć, że my też zajmujemy się układami nieliniowymi, tyle że znacznie prostszymi, a mimo to dalecy jesteśmy od zrozumienia jak one działają. Dlatego naprawdę trudno mi wierzyć, że współczesna socjologia i ekonomia do końca wie o czym mówi. To wszystko byłoby może zabawne i warte tylko wzruszenia ramion, gdyby nie kolosalne konsekwencje ewentualnych błędów.

nie jest zabawa, a jeżeli zabawa, to w każdym razie bardzo niebezpieczna: „wy się bawicie, nam chodzi o życie”.

Wiemy jednak, że narzucanie myśli ludzkiej jakichkolwiek ograniczeń jest z góry skazane na niepowodzenie. Mamy w końcu do czynienia z ludźmi, których podstawowym narzędziem i metodą działania jest dysputa i kontestacja, a celem – szukanie nowych koncepcji intelektualnych. Jeżeli jest więc jakaś szansa, aby współcześni uczniowie czarnoksiężnika nie wprowadzili świata w nowe koszmary, to widzę ją tylko w stałym i uporczywym odwoływaniu się do HISTORII. Z nadzieją – być może płonną, a może naiwną – że pamięć i analiza przeżytych wzlotów i upadków cywilizacji pozwoli na uniknięcie następnych pomyłek i zbrodni. Nie muszę już nawet dodawać, jak wielką odpowiedzialność nakłada to z kolei na historyków.

KOMENTARZ DRUGI: EDUKACJA

Dyskusja, jak edukować młode pokolenie jest zapewne stara jak świat, a w naszym kraju odbywa się, odkąd pamiętam. Oto niektóre z „wiecznych” pytań: czy szkoła ma uczyć, czy wychowywać? czy mamy kształcić wąskich specjalistów, czy nastawić się na kształcenie ogólne? czy należy raczej kłaść nacisk na wiedzę, czy na rozwijanie umysłu?

Odpowiedź jest oczywista: chciałoby się mieć wszystko na raz. Nauczanie i wychowanie, specjalistów ale z szerokimi horyzontami, erudytów, ale zdolnych do uogólnień. Problem polega na tym, że nie wiadomo, jak to zrobić. Pojemność umysłu ucznia (i nie tylko ucznia) jest ograniczona, czas pobytu w szkole (na szczęście) też. Trzeba więc dokonywać trudnych wyborów.

Ostatnio, o ile się orientuję, zdają się zwyciężać zwolennicy koncepcji, że szkoła winna przede wszystkim uczyć „myślenia”, a nie obciążać ucznia „niepotrzebnymi” i „nudnymi” faktami. Niewątpliwie pogląd ten sprzyja podnoszeniu współczynnika scholaryzacji, z czego wszyscy chyba są zadowoleni (zapewne ten sam argument spowodował usunięcie z matury obowiązkowej matematyki). Złośliwcy wskazują co prawda, że gdy się nic nie umie, to nie ma o czym myśleć, ale kto by ich słuchał. Sądzę, że za jakiś czas – gdy już wyprodukujemy dostateczną liczbę nieuków – tendencja się odwróci. I tak dalej, i od nowa: koło będzie się kręcić. Wydaje się, że nie ma wyjścia: albo tępe wkuwanie oderwanych faktów, albo nauka myślenia o niczym.

Być może jednak jest sposób. Od pewnego czasu jestem pod wrażeniem propozycji Neila Postmana, który twierdzi, że sprzeczność tę można pokonać, jeżeli wszystkie przedmioty będą nauczane jako HISTORIA. Pomysł wydaje mi się genialny. Bo to przecież znaczy, że współczesna nauka

nie będzie przedstawiana jako zbiór gotowych i obowiązujących reguł, lecz jako wynik trudnego historycznego procesu zdobywania przez ludzkość wiedzy o naturze i o społeczeństwie. W ten sposób fakty przestają być martwe, a ukazują się takimi, jakimi są w rzeczywistości: w stałej konfrontacji nowych odkryć i koncepcji z ustaloną dotąd wiedzą. W rezultacie – cytuję Postmana – „dzieci, nawet w najmłodszych klasach, mogłyby zacząć rozumieć, że wiedza nie jest czymś raz na zawsze ustalonym, lecz etapem w rozwoju człowieka, który ma swoją przeszłość i przyszłość”. Dodatkowo mam wrażenie, że lekcje prowadzone w ten sposób mogą być znacznie bardziej interesujące niż to, z czym mamy dzisiaj do czynienia, a słuszny postulat „humanizacji” wiedzy będzie automatycznie zrealizowany.

Zdaję sobie sprawę, że przemawia przede mną gorliwość neofity, który nie ma wystarczającego przygotowania, aby krytycznie ocenić ten pomysł².

Może prowadzi on na manowce, a może jest po prostu nierealny (jego wprowadzenie wymagałoby np. zupełnie nowego systemu kształcenia nauczycieli, a przynajmniej zupełnie nowych podręczników). Ale sadzę, że wart jest poważnej refleksji. Kto wie, może istotnie HISTORIA podsuwa nam poszukiwane od dawna rozwiązanie.

KOMENTARZ TRZECI: KONDYCJA UCZONEGO-PRZYRODNIKA

Poważne uprawianie nauk przyrodniczych jest zajęciem wymagającym niezwykle wysiłku, ale równocześnie fascynującym i przynoszącym wiele satysfakcji. Właściwie jednak trzeba by go jeszcze nazwać bohaterskim, ponieważ jest to działalność zasadniczo skazana na klęskę.

Po co bowiem prowadzimy badania? Oczywiście motywacje mogą być różne, ale – przynajmniej teoretycznie – chodzi nam o odkrywanie nowych praw czy też zasad rządzących światem przyrody (jak najszerzej rozumianym: od wszechświata do atomu, od wirusa do człowieka). Wiemy dobrze, że ten wysiłek tysięcy ludzi na całym świecie przynosi czasem efekty, zdarza się, że wspaniałe (w XX wieku przykładem z fizyki może być teoria względności lub mechanika kwantowa, a w biologii wykrycie mechanizmu dziedziczenia). Takie rzeczy się bez wątpienia zdarzają. Ale zdarzają się niezwykle rzadko. Moje pytanie nie dotyczy więc tych kilku przypadków, gdzie udało się uzyskać spektakularny wynik, ale pozostałych tysięcy, a raczej setek tysięcy uczonych (a może wyrobników nauki),

² Jedno jest dość oczywiste: nie może to być „prawdziwa” historia, lecz raczej historia uproszczona *ad usum Delphini*.

którzy nigdy do tego poziomu nawet się nie zbliżą. W sumie, dotyczy więc właściwie nas wszystkich.

Oczywiście w młodości każdy nosi buławę w plecaku, ale w końcu za zwyczaj musi pogodzić się z losem: jego rezultaty, nawet gdy chwilowo wzbudzają zainteresowanie, są skazane – w najlepszym razie – na zapamiętanie archiwów. I nic tu nie pomoże wysoki „impact factor”, ani duża liczba cytowań.

Powie ktoś, że stawiam poprzeczkę zbyt wysoko, że przecież dla postępu nauki istotne są nawet niewielkie przyczynki, które jednak posuwają ją naprzód i stwarzają warunki dla uzyskania tych wielkich, imponujących osiągnięć. To zapewne prawda, chociaż nie całkiem oczywista. W końcu nie jest wykluczone, że wielkie osiągnięcia biorą się właśnie z samotności wielkiego umysłu. Nie chciałbym jednak wchodzić w to – bardzo trudne – zagadnienie. Bowiem nawet jeżeli przyjmiamo, że nasza praca ma faktycznie pewne znaczenie dla rozwoju nauki, to trudno się nie zgodzić, że wcześniej czy później utonie ona w anonimowym tle i zapadnie się w nicłość.

Oczywiście można, a może nawet należy, przejść nad tym do porządku dziennego i nie sądzić, aby problem spędzał nam sen z powiek. A w każdym razie na pewno nie co dzień. Niemniej problem istnieje. Mnie zwróciła kiedyś na niego uwagę Irena Krzywicka mówiąc, że nie ma najmniejszej szansy na to, aby za – powiedzmy – sto lat ktokolwiek zaglądnał do którejś z moich prac. W przeciwieństwie do literatury, gdzie nie tylko osiągnięcia najwyższego lotu się liczą. Przykład księdza Baki, czytanego przecież do dzisiaj i to po wielu latach całkowitego zapomnienia, jest tu bardzo symptomatyczny.

Na pozór trudno oprzeć się tej argumentacji. Istnieje jednak wyjątek od reguły. Bez wątplenia za sto lat moje prace nie zainteresują żadnego fizyka. Ale – kto wie – może potrafią zainteresować HISTORYKA, który będzie zajmował się na przykład dziejami fizyki w Krakowie w drugiej połowie XX wieku, albo – powiedzmy – historią kontaktów polskich uczonych z Zachodem w okresie dyktatury komunistycznej. Przypnę, że mało to prawdopodobne, bo gdzieś znajdziemy historyka, który nie będzie bał się formuł matematycznych. Ale sto lat to szmat czasu, może wówczas pojawiają się znowu ludzie renesansowi? W każdym razie nadzieja pozostaje. I znowu tylko dzięki HISTORII.

To wszystko. Kończąc, chciałbym jeszcze raz podziękować za możliwość wystąpienia przed tak znakomitym gremium.